

STEPHEN
KING
NOCNA ZMIANA

NA PODSTAWIE JEDNEGO Z OPOWIADĄŃ NAKRĘCONO FILM **BOOGEYMAN**.

ALBATROS

Tytuł oryginału:
NIGHT SHIFT

Copyright © Stephen King 1976, 1977, 1978

All rights reserved

This translation published by arrangement with Doubleday, an imprint
of The Knopf Doubleday Publishing Group, division of Random House, Inc.

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2017

Polish translation copyright © Maria Wroczyńska i Paweł Wroczyński 2024

Korekta: Magdalena Stec

Projekt graficzny okładki: Sławomir Rybka

ISBN 978-83-8361-102-0

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa

wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakkolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Konwersja do formatu ...

...

...

Spis treści

Przedmowa

Słowo od Autora

DOLA JERUZALEM

CMENTARNA SZYCHTA

NOCNY PRZYPŁYW

JESTEM BRAMĄ

MAGIEL

CZARNY LUD

SZARA MATERIA

POLE WALKI

CIEŻARÓWKI

CZASAMI WRACAJĄ

TRUSKAWKOWA WIOSNA

GZYMS

KOSIARZ TRAWY

QUITTERS, INC.

WIEM, CZEGO CI POTRZEBA

DZIECI KUKURYDZY

OSTATNI SZCZEBEL W DRABINIE

CZŁOWIEK, KTÓRY KOCHAŁ KWIATY

KTOŚ NA DRODZE

KOBIETA NA SALI

DOLA JERUZALEM

2 paźdz. 1850 r.

DROGI BONESIE!

Jak to dobrze znaleźć się wreszcie w chłodnym, pełnym przeciągów holu w Chapelwaite z nadzieją, że w końcu ulżę pełnemu pęcherzowi. Po podróży tym przerażającym dyliżansem bolą mnie wszystkie gnaty. Ale największą radość sprawił mi widok zaadresowanego Twoimi niepowtarzalnymi bazgrołami listu, który leży na tym okropnym stoliku z drzewa wiśniowego stojącym obok drzwi! Zapewniam Cię, że zabiorę się do jego odcyfrowywania, jak tylko zaspokoję potrzeby mego ciała (w ozdobnej łazience na parterze, gdzie panuje taki ziąb, że aż para leci z ust).

Rad jestem, że wyleczyłeś się już z tej miazmy, która tak długo męczyła Ci płuca, jakkolwiek bardzo Ci współczuję moralnego dylematu, jaki miałeś w związku z podjęciem decyzji o rozpoczęciu kuracji. Chory abolicjonista leczący się na słonecznej, skażonej niewolnictwem Florydzie. Niemniej, Bonesie, proszę Cię jako przyjaciela, który również był już w tej dolinie cienia, myśl przede wszystkim o sobie i nie wracaj do Massachusetts, dopóki ciało nie będzie zupełnie zdrowe. Jeśli umrzesz, Twój subtelny umysł i cięte pióro będą dla nas stracone; czyż nie ma jakiejś poetyckiej sprawiedliwości w tym, że Południe ma cię wyleczyć?

Owszem, dom jest tak spokojny i piękny, jak zapewniali mnie wykonawcy ostatniej woli mego kuzyna, ale w pewien sposób złowieszczy. Stoi na wysokim, wielkim, sterczącym wzniesieniu jakieś pięć kilometrów na północ od Falmouth, a dziewięć od Portlandu. Za domem rozciąga się ponad hektar ziemi, dochodzący aż do strasznej, przechodzącej wszelkie wyobrażenia dziczy – jałowce, zbite gąszcza winorośli, krzaki i dzikie pnącza porastające malownicze skały, które oddzielają moją posiadłość od terenów należących do miasta. Okropne imitacje greckich rzeźb spoglądają ślepo ze szczytów pagórków, jakby w każdej chwili miały się rzucić na przechodnia. Odnoszę wrażenie, że gust mego kuzyna Stephena wyrażał całą gamę upodobań, od predylekcji do rzeczy nie do zaakceptowania po zamiłowanie do przedmiotów krańcowo odrażających. Jest tu dziwaczny letni domek, prawie całkowicie pogrzebany pod zwałami szkarłatnego sumaka, i groteskowy zegar słoneczny w środku czegoś, co niegdyś musiało być ogrodem. On właśnie dopełnia miary szaleństwa, jakie tkwi w tym dziwacznym krajobrazie.

Ale widok rozciągający się z okien salonu rekompensuje wszystko; przyprawiająca o zawrót głowy panorama skał u podnóża Chapelwaite Head i samego Atlantyku. Olbrzymie, wysunięte okno wykuszowe, obok którego stoi wielka, przypominająca kształtem ropuchę sekretera, wychodzi właśnie na tę stronę. Wszystko to stwarza doskonale warunki i wspaniałą nastrój, żebym zaczął w końcu pisać powieść, o której tyle Ci opowiadałem [i niewątpliwie okropnie Cię tym zanudzałem].

Dzisiejszy dzień był pochmurny, co chwila padał deszcz. Świat za oknem jest bury – stare i zwiędłe jak sam Czas skały, niebo i naturalnie ocean, który bije w granitowe zręby u podnóża góry, powodując nie tyle huk, co jakieś wibracje... Kiedy piszę te słowa, cały czas wyczuwam stopami każde uderzenie fal. Ogólnie wrażenie nie jest nieprzyjemne.

Zdaję sobie sprawę, drogi Bonesie, że nie pochwalasz moich samotniczych ciągów, ale śpieszę Cię zapewnić, że czuję się świet-

nie i jestem szczęśliwy. Jest ze mną Calvin, jak zwykle praktyczny, małowówny i niezawodny; już po kilku dniach zadzierzgnęła się między nami nić sympatii. Zorganizowaliśmy sobie w miasteczku regularne dostawy prowiantu oraz cały zastęp kobiet, które mają doprowadzić ten dom do porządku!

Będę kończył – tyle tu jeszcze mam rzeczy do obejrzenia, tyle pokoi do zwiedzenia i niewątpliwie tysiące sztuk obrzydliwych mebli, które czekają, żebym rzucił na nie czułym okiem. Jeszcze raz dziękuję Ci za serdeczny list i za Twoją nieustającą przyjaźń.

Przekaż wyrazy sympatii swojej żonie i przyjmij moje.

CHARLES

6 paźdz. 1850 r.

DROGI BONESIE!

Cóż to za miejsce!

Nieustannie wprawia mnie w zdumienie – podobnie jak zdumiewa mnie reakcja mieszkańców pobliskiej wioski na wieść o tym, że objąłem je w posiadanie. Jest to dziwaczna maleńka osada o malowniczej nazwie Preacher's Corners*. To stamtąd właśnie Calvin zorganizował cotygodniowe dostawy zaopatrzenia; tam również postanowił zamówić odpowiednią ilość drewna na zimę. Ale z miasteczka wrócił z pochmurną twarzą, a kiedy spytałem, co go dręczy, odparł posępnie:

„Panie Boone, oni uważają, że pan zwariował!”.

Roześmiałem się i odparłem, że zapewne dotarła już do nich wieść, że po śmierci Sarah przeszedłem zapalenie opon mózgowych... Plotłem wtedy niestworzone rzeczy, o czym sam możesz zaświadczyć.

Ale Cal zaprotestował, twierdząc, że nikt tam o mnie nic nie wie poza tym, że jestem kuzynkiem Stephena, który również

* Dosłownie: Kąty Kaznodziei.

zaopatrywał się we wszystko w miasteczku. „Powiedziano mi, proszę pana, że każdy, kto mieszka w Chapelwaite, albo jest już wariatem, albo nim zostanie”.

Jak zapewne sobie wyobrażasz, byłem bardzo zakłopotany i zapytałem, skąd ma te zdumiewające informacje. Wyjaśnił, że powiedział mu o tym ponury i raczej zamroczony alkoholem bałwan nazwiskiem Thompson, właściciel czterystu akrów ziemi porośniętej sosnami, brzozaami i świerkami, z których drewno obrabia wraz z pięcioma synami i sprzedaje je częściowo do tartaków w Portlandzie, a częściowo gospodarzom z przyległych terenów.

Kiedy Cal, nieświadom jego dziwacznych uprzedzeń, wyjaśnił, gdzie ma dostarczyć drewno, Thompson gapił się na niego z otwartą gębą jak sroka w gnat. Oświadczył, że drewno mogą dostarczyć jego synowie, ale tylko za dnia, i to wyłącznie drogą biegnącą wzdłuż brzegu morza.

Cal zapewne źle odczytał moje osłupienie i szybko dodał, że facet upił się taną whisky i wygadywał jakieś bzdury o wymarłym miasteczku, z którym Stephen miał powiązania... i o glistach! Calvin dobił w końcu interesu z jednym z chłopaków Thompsona. Ten, jak wywnioskowałem z opowieści, zachowywał się raczej gburowato i sądząc po bijącym z ust zapachu, daleko mu było do trzeźwości. Zrozumiałem też, że i w samym Preacher's Corners moje przybycie spotkało się z podobną reakcją. Cal dowiedział się o tym w sklepie kolonialnym od sprzedawcy, ale wywnioskowałem, że to raczej typ plotkarza, który lubi obmawiać ludzi poza ich plecami.

Nie przejąłem się zbytnio tym wszystkim, ponieważ wiem, że wieśniacy lubią tworzyć mity oraz ubarwiać sobie życie plotkami, a podejrzewam, że nieszczęsny Stephen i jego rodzina stanowili bardzo wdzięczny temat. Uświadomiłem Calowi, że człowiek, który padł trupem przed werandą własnego domu, z całą pewnością musiał stać się tutaj naczelnym tematem rozmów i plotek.

Sam dom wprawia mnie w nieustanne zdumienie. Bonesie, ma dwadzieścia trzy pokoje! Ściany na piętrach wyłożone są boaze-

rią, a galeria portretów, choć nosi wyraźne ślady pleśni, trzyma się jeszcze całkiem dzielnie. Kiedy przebywałem na piętrze w sypialni, którą ostatnio zajmował mój kuzyn, słyszałem buszujące w ścianach szczury; sądząc po hałasie, jaki robiły, musiały to być wyjątkowo dorodne sztuki – chrobot był tak donośny, jakby tam grasowali ludzie. Zapewniam Cię, że nie chciałbym spotkać się w nocy z takim stworzeniem, zresztą w dzień też nie. Jak dotąd nie natknąłem się jednak ani na ich odchody, ani na żadne nory. Dziwne.

Galeria na piętrze składa się z kiepskich obrazów, za to ramy warte są zapewne fortunę. Niektóre postacie z portretów przypominają Stephena takiego, jakim go zapamiętałem. Sądzę też, że zidentyfikowałem mego wuja, Henry’ego Boone’a, i jego żonę Judith; pozostałe twarze nic mi nie mówią. Podejrzewam, że któraś może należeć do mego znanego wszem i wobec dziadka Roberta. Ale rodziny ze strony Stephena zupełnie nie znam, czego ze szczerzego serca żałuję. Ten sam dobry humor, który przebiegał z listów Stephena do mnie i do Sarah, dostrzec można w twarzach osób na portretach, mimo że same obrazy są w opłakanym stanie. W jakież głupi sposób rozpadają się rodziny! Karabinowe *escritoire*, ostre słowa między braćmi, którzy nie żyją już od trzech pokoleń, i Bogu ducha winni potomkowie niepotrzebnie patrzą na siebie wilkiem. Nie potrafię powstrzymać się od refleksji, że niebywale szczęśliwie się złożyło, iż Tobie i Johnowi Petty’emu udało się skontaktować ze Stephenem, kiedy wydawało się, że ja też podążę śladem Sary i przekroczyć Bramę... zwłaszcza że złośliwy los nie pozwolił mi się osobiście spotkać z kuzynem. Tak chciałbym posłuchać na własne uszy, jak występuje w obronie rodowych rzeźb i mebli!

Ale nie pozwól mi tak bezlitośnie obmawiać tego miejsca. Stephen wprawdzie hołdował innym gustom niż moje, ale oprócz nowinek wprowadzonych przez niego znaleźć tu można prawdziwe perły sztuki meblarskiej [większość z nich spoczywa na górze przykryta płóciennymi pokrowcami]. Są tam łóża, stoły i ciężkie, mroczne woluty wykonane z drzewa tekowego i z mahoni, a

wyposażenie licznych sypialni i pokoi gościnnych, górnego gabinetu i małego salonu ma jakiś posępny urok. Podłogi wyłożone sosnową klepką lśnią jakimś tajemniczym, wewnętrznym blaskiem. Panuje tutaj aura dostojeństwa; dostojeństwa i przytłaczającego wszystko ciężaru minionych lat. Nie powiem, żebym to lubił, ale darzę szacunkiem. Bardzo jestem ciekaw, czy uda mi się przystosować do tego tak zmiennego, północnego klimatu.

Boże, ale się rozgadałem! Odpisz mi, Bonesie, jak najszybciej. Informuj mnie o postępach twojej kuracji, a także o wiadomościach, jakie dostajesz od Petty'ego i reszty. I zaklinam cię na wszystkie świętości, nie próbuj zbyt nachalnie nawracać swych nowych znajomych z Południa. Obaj doskonale wiemy, że nie wszyscy, jak nasz dawno już nieżyjący przyjaciel, pan Calhoun, zadowolą się jedynie utarczkami słownymi.

Oddany Ci przyjaciel
CHARLES

16 paźdz. 1850 r.

DROGI RICHARDZIE!

Cześć, jak Ci leci? Po przybyciu do rezydencji w Chapelwaite często o Tobie myślałem i po trosze spodziewałem się jakichś wieści od Ciebie... a teraz właśnie otrzymałem list od Bonesa, który pisze, że przecież zapomniałem zostawić w klubie swego nowego adresu! Bądź pewien, że i tak bym napisał, ponieważ czasami wydaje mi się, że moi prawdziwi i wierni przyjaciele są wszystkim, co zostawiłem w zupełnie normalnym i pewnym świecie. Wielki Boże, ależ los nas rozrzucił! Ty jesteś w Bostonie i wiernie piszesz do „The Liberator” [tak na marginesie, tam również przesłałem mój aktualny adres], Hanson przebywa w Anglii na tych swoich kolejnych przeklętych wycieczkach, a biedaczysko Bones leczy płuca w samej jaskini lwa.

Dicku, sytuację tutaj zastałem taką, jak się spodziewałem, i bądź pewien, że złożę Ci o wszystkim pełne sprawozdanie, kiedy

już uporam się z pewnymi sprawami, z jakimi się zetknąłem w tym miejscu... Myślę, iż pewne wydarzenia, jakie zdarzają się w samym Chapelwaite i w okolicy, bardzo zaintrygują Twój prawniczy umysł.

Na razie pragnę tylko zapytać, czy nadal interesują Cię te sprawy. Czy pamiętasz historyka, którego przedstawiłeś mi na obiedzie u pana Clary'ego? Nazywał się chyba Bigelow. Tak czy owak, wspominał, że jego hobby polega na zbieraniu wszelkich strzępów wiadomości historycznych odnoszących się dokładnie do terenów, na których obecnie mieszkam. Moja prośba zatem brzmi: Czy byłbyś łaskaw skontaktować się z nim ponownie i poprosić o informacje dotyczące folkloru, a nawet plotki odnoszące się do małego, opuszczonego miasteczka zwanego DOLA JERUZALEM w parafii Preacher's Corners nad Royal River, która wpada do odległej od Chapelwaite o jakieś osiemnaście kilometrów rzeki Androscoggin? Jest to dla mnie sprawa niebywale istotna i byłbym Ci bardzo zobowiązany, gdybyś zechciał mi pomóc.

Drogi Dicku, przejrzałem właśnie ten list i widzę, że potraktowałem Cię dosyć skrótowo, za co z całego serca przepraszam. Ale zapewniam Cię, że w stosownym czasie wytłumaczę tę lakoniczność, a teraz przesyłam najgorętsze pozdrowienia Twojej żonie, Twoim dwóm wspaniałym synom i, naturalnie, Tobie.

Oddany Ci przyjaciel
CHARLES

16 paźdz. 1850 r.

DROGI BONESIE!

Pragnę opowiedzieć Ci o tym, co mnie i Calowi wydaje się nieco dziwne [a nawet niepokojące] – ciekaw jestem, co Ty na ten temat powiesz. Jeśli Cię to nie zainteresuje, potraktuj wszystko jako żart, który uprzyjemni Ci chwile walk z komarami.

W dwa dni po tym, jak wysłałem do Ciebie list, z Corners przybyły do nas cztery młode damy w towarzystwie pani Cloris, matrony

o przerażająco dystygnowanym wyrazie twarzy, żeby doprowadzić dom do porządku i wszystko dokładnie odkurzyć; w wyniku ich działań już do końca dnia nieustannie kichałem. Wszystkie kobiety, wykonując swoją pracę, wydawały się spięte i mocno zdenerwowane; jedna nawet cicho pisnęła ze strachu, kiedy nieoczekiwanie wszedłem do salonu na piętrze, który akurat sprzątała.

Zapytałem o to panią Cloris. [Zdumiałbyś się, bo odkurzała hol na parterze z taką zawziętością, że spod starej, spłowiałej opaski wysypywały się jej kosmyki włosów]. Odwróciła się w moją stronę i powiedziała z dziwnym napięciem w głosie:

„Ludzie nie lubią tego domu, proszę pana, i ja również go nie lubię. Ten dom zawsze był zły”.

Na tak nieoczekiwane oświadczenie straciłem na chwilę mowę, a wyraźnie podekscytowana pani Cloris ciągnęła:

„Nie chcę przez to powiedzieć, że Stephen Boone był człowiekiem niegodziwym, ponieważ skłamałabym; sprzątałam u niego co drugi czwartek przez cały czas, jak tutaj mieszkał, podobnie jak sprzątałam u jego ojca, pana Randolpha Boone’a aż do chwili, kiedy on i jego żona zniknęli w roku tysiąc osiemset szesnastym. Pan Stephen był dobrym i sympatycznym człowiekiem i pan również sprawia takie wrażenie (proszę wybaczyć mi moją szczerość, ale ja nie potrafię inaczej mówić), lecz sam dom jest zły, taki zresztą zawsze był, i żaden z Boone’ów nie zaznał w nim szczęścia. Tak jest od czasów, kiedy pański dziadek Robert i jego brat Philip w roku tysiąc siedemset osiemdziesiątym dziewiątym poróżnili się o jakieś [tutaj umilkła, jakby nagle poczuła się winna] skradzione przedmioty”.

Sam popatrz, Bones, jaką ta miejscowa ludność ma pamięć!

„Dom zbudowano nieszczęśliwie – powiedziała jeszcze pani Cloris. – Ludzi w nim mieszkających prześladowały nieszczęścia, na jego podłogach rozlano krew [nie wiem, czy wiesz, Bones, że mój wuj Randolph zamieszany był w wypadek, jaki wydarzył się na schodach prowadzących do piwnicy, w którym to straciła ży-

cie jego córka Marcella; on sam, dręczony wyrzutami sumienia, odebrał sobie życie. Opisał mi to wszystko Stephen w liście, jaki przysłał ze smutnej okazji dnia urodzin swojej nieżyjącej siostry], zdarzały się tu również tajemnicze zniknięcia i wypadki.

Pracowałam w tym domu od dawna, panie Boone, a przecież nie jestem ani ślepa, ani głucha. Słyszałam w ścianach paskudne dźwięki, proszę pana, paskudne dźwięki – straszliwe łomoty i trzaski, a raz nawet dziwne ni to zawrodożenie, ni to śmiech. Aż zmroziło mi krew w żyłach. Proszę pana, to mroczne miejsce...”.

Urwała, najwyraźniej w obawie, że powie za dużo.

Jeśli o mnie chodzi, sam dobrze nie wiedziałem, czy mam wybuchnąć śmiechem, czy wyrazić oburzenie, być zaintrygowany, czy podejść do tych rewelacji racjonalnie. Obawiam się, że wtedy byłbym tylko rozbawiony.

„A czego się pani spodziewała, pani Cloris? – zapytałem. – Porzuciłaś łańcuchami duchów?”

Ona tylko obrzuciła mnie osobliwym spojrzeniem.

„Może i duchów. Ale to nie duchy gnieźdzą się w ścianach. To nie duchy zawrodożą i płaczą jak potępienci, to nie duchy rozbijają się i włończą w ciemnościach. To...”.

„Śmiało, pani Cloris – zachęciłem. – Skoro już pani opowiedziała tyle, to należy skończyć to, co się zaczęło”.

Na jej twarzy pojawił się wyraz najwyższego przerażenia i – mógłbym dać głowę – jakiejś religijnej zgrozy.

„Niektórzy nie umierają – szepnęła. – Niektórzy żyją w półmroku zalegającym dziedzinę Pomiędzy, żeby służyć... Jemu!”

I to wszystko. Przez kilka minut próbowałem z kobieciną jeszcze coś wyciągnąć, ale ona zacięła się w uporze i nic więcej nie powiedziała. W końcu dałem spokój w obawie, że porzuci pracę.

Na tym zakończył się ten epizod, ale kolejny wydarzył się następnego wieczoru. Calvin napalił w kominku na parterze, więc zasiadłem w salonie i kołysząc się sennie nad egzemplarzem „The Intelligencer” słuchałem łoskotu nawiewanego wiatrem deszczu

bijącego w duże wykuszowe okno. Wpadłem w błogi nastrój, jaki ogarnąłby każdego, kto wieczorem w taką pogodę siedzi pod dachem w cieple i w wygodnym fotelu. W pewnej chwili w progu stanął Calvin. Był podekscytowany i wyraźnie wystraszony.

„Pan nie śpi, sir?” – zapytał.

„Właśnie prawie zasnąłem – odrzekłem. – Co się stało?”

„Odkryłem coś na piętrze. Myślę, że powinien pan to zobaczyć osobiście” – odparł, z trudem kryjąc podniecenie.

Wstałem i ruszyłem za nim. Wspinając się po szerokich schodach, Calvin powiedział:

„Czytałem książkę w gabinecie na piętrze... jedną z tych dziwnych... kiedy usłyszałem w ścianie hałas”.

„Szczury – oświadczyłem. – I to wszystko?”

Przystanął na górze schodów i popatrzył na mnie bardzo poważnie. Lampa, którą trzymał w ręce, rzucała tajemnicze, tańczące cienie na ciemne draperie i majające w mroku portrety. Twarze raczej łypały na nas z ukosa, niż się uśmiechały. Nagle za oknem zaczął wyc wiatr, ale po chwili, jakby niechętnie, ucichł.

„To nie były szczury – powiedział Cal. – To był taki dudniący dźwięk, jakby coś szamotało się za szafką z książkami, a później rozległ się okropny gulgotający rechot... okropny, sir. I drapanie, jakby coś chciało się wydostać... dostać mnie!”

Czy potrafisz sobie wyobrazić moje zdumienie, Bonesie? Calvin nie jest człowiekiem, który daje się ponosić odruchom histerycznej wyobraźni. Zacząłem podejrzewać, że tkwi w tym jakaś tajemnica; i to tajemnica bardzo ponura.

„I co się stało dalej?” – spytałem.

Ruszyliśmy korytarzem i w końcu ujrzałem padające z gabinetu na podłogę światło. Z drżeniem serca popatrzyłem w tamtą stronę; opuścił mnie cały błogi nastrój.

„Drapanie ustało, ale po chwili znów rozległo się to dudnienie i szamotanie; tym razem coraz dalej. Na chwilę to coś się zatrzymało i przysięgam, że słyszałem dziwny, prawie nieuchwytny dla ucha

śmiech! Podeszedłem do szafki i przesunąłem ją w nadziei, że znajdę za nią jakąś przegrodę albo sekretne drzwi”.

„I co? Natknąłeś się na coś interesującego?”

Cał przystanął przed drzwiami do gabinetu.

„Nie... ale znalazłem to!”

Weszliśmy do środka i zobaczyłem w półce stojącej po lewej stronie czarną wnękę. Książki w tym miejscu były tylko atrapą. Cał odnalazł skrytkę. Poświeciłem do środka lampą, ale dostrzegłem jedynie grubą warstwę kurzu, który musiał się tam gromadzić od dziesięcioleci.

„W środku było tylko to” – wyjaśnił cicho Cał, wręczając mi poślódką kartkę papieru.

Przed oczami miałem mapę z delikatnymi, cienkimi jak pajęczka przędza liniami wyrysowanymi czarnym atramentem... mapę jakiegoś miasteczka lub wioski. Na planie umieszczono może z siedem budynków. Pod jednym, zaznaczonym wieżyczką, widniał podpis: *Zepsuła go glista*.

W górnym lewym rogu – wedle mapy punkt ów leżał na północny zachód od małej osady – narysowana była strzałka. Pod nią czerniał napis: *Chapelwaite*.

„W Corners ktoś wspominał z lękiem o opuszczonym miasteczku zwanym Dola Jeruzalem – powiedział Calvin. – Wszyscy trzymają się od tamtego miejsca z daleka”.

„Ale co to znaczy?” – zapytałem, wskazując dziwaczny podpis pod wieżyczką.

„Nie wiem” – odparł.

Przypomniałem sobie wystraszoną, ale stanowczą panią Cloris.

„Glista...” – mruknąłem.

„Czy pan coś wie, panie Boone?”

„Zapewne... będzie zabawnie odwiedzić jutro to miasteczko. Co o tym myślisz, Cał?”

Oczy mu rozbłyły i skinął głową. Strawiliśmy blisko godzinę, opukując i przeszukując ścianę za znalezioną przez Cala skrytką,

ale bez rezultatu. Nie powtórzyły się również odgłosy, które mi opisał.

Daliśmy sobie wreszcie spokój.

Następnego dnia rano ruszyliśmy na piechotę przez las. Padający w nocy deszcz ustał, ale niebo ciągle było szare i nad ziemią nisko płynęły chmury. Kiedy poczułem na sobie zaniepokojony wzrok Cala, śpiesznie zapewniłem go, że jeśli poczuję się zmęczony lub droga okaże się zbyt długa, natychmiast go o tym powiadomię i zrezygnujemy z całego przedsięwzięcia. Zabraliśmy ze sobą potężną wałówkę, wyśmienity kompas Buckwhite'a i oczywiście tajemniczą starą mapę Doli Jeruzalem.

Dzień był dziwny i posępny; kiedy posuwaliśmy się przez mroczny sosnowy las, najpierw na południe, a później na wschód, nie słyszeliśmy ani jednego ptaka, a w zaroślach nie poruszyło się żadne zwierzę. Głuchą ciszę mącił jedynie odgłos naszych kroków i odległy łoskot bijącego w skały przyłądka oceanu. Towarzyszył nam cały czas prawie nadprzyrodzenie ciężki zapach morza.

Po niecałych trzech kilometrach natknęliśmy się na zarośniętą, niegdyś wyłożoną palami drogę, która ciągnęła się mniej więcej w tym samym kierunku, gdzie zdążaliśmy. Ruszyliśmy nią, co pozwoliło zaoszczędzić sporo czasu. Rozmawialiśmy niewiele. Pochmurny, ponury dzień opadał ciężką płachtą, gasząc w nas całego ducha.

Około jedenastej usłyszeliśmy szum płynącej wody. Zarośnięta droga, którą szliśmy, gwałtownie odbijała w lewo, a po drugiej stronie spienionego, ciemnoszarego potoku, niczym jakieś widziadło, rozsiało się miasteczko Dola Jeruzalem!

Potok miał około dwóch i pół metra szerokości, jego brzegi łączyła obrośnięta mchem kładka. Po drugiej stronie, Bonesie, znajdowało się przepiękne miasteczko. Naturalnie nieubłagane działanie czasu odcisnęło na nim swoje piętno, ale i tak zachowało się w zadziwiająco dobrym stanie. Kilkanaście domów, z jakich znani byli purytanie – surowych w swoim kształcie, ale mimo to imponujących – stało nad stromym brzegiem rzeki. Dalej, wzdłuż

zarośniętej chwastami ulicy widniały trzy lub cztery budynki. Od biedy mogły stanowić prymitywne centrum handlowe. Jeszcze dalej sterczała iglica zaznaczonego na mapie kościoła; kłula ołowiane niebo i sprawiała nieprawdopodobnie posępne wrażenie z powodu łuszczącej się farby i zmatowiałego, przekrzywionego krzyża.

„Nazwa pasuje do miasteczka jak ulał” – odezwał się cicho stojący za moimi plecami Cal.

Przeszliśmy mostek, ruszyliśmy w stronę wioski... i w tym miejscu moja opowieść stanie się nieco dziwaczna, więc przygotuj się, Bonesie!

W miarę jak posuwaliśmy się między domami, powietrze zdawało się przybierać konsystencję ołowiu; jeśli wolisz, było ciężkie. Budynki znajdowały się w stanie kompletnego rozkładu – pozrywane okiennice, pozapadane pod ciężarem śniegów dachy, pokryte kurzem okna łypiące na nas zezem. Cienie rzucane przez dziwaczne załomy ścian i kanciaste przybudówki zdawały się zamieniać w jakieś złowrogie jeziora.

Najpierw wkroczyliśmy do starej, zmurszałej karczmy – odnosiłem osobliwe wrażenie, że nie powinniśmy swoją obecnością zakłócać spokoju domów, w których zmęczeni ludzie szukali chwili wytchnienia i samotności. Zwietrzała tablica wisząca nad połupanymi drzwiami głosiła, że był tu ongiś ZAJAZD I KARCZMA POD ŚWIŃSKIM ŁBEM. Wiszące na jednym zawiasie drzwi zaskrzypiały potępieńczo, a my weszliśmy do pogrążonego w głębokim cieniu wnętrza. Smród pleśni i rozkładu zwał się po prostu z nóg. Wydawało mi się, że pod tym zapachem kryje się inny jeszcze fetor, zawieszisty, morowy odór, zapach wieków i zgnilizny. Taką woń wydziełać mogą jedynie zniszczone trumny lub zbezczeszczone grobowce. Jednocześnie przyłożyliśmy do nosów chusteczki. Obrzuciliśmy pomieszczenie bystrym spojrzeniem.

„Boże drogi, sir...” – zaczął słabym głosem Cal.

„...nie powinniśmy byli tu wchodzić” – zakończyłem za niego. I tak rzeczywiście było.

Stoły i krzesła stały niczym upiorni strażnicy; zakurzone, z niezatartym piętnem, jakie wywarły na nich gwałtowne zmiany temperatur, z których znany jest klimat Nowej Anglii, a jednocześnie w jakiś sposób w stanie nienaruszonym – jakby czekały poprzez milczące, napęczniałe echem dziesięciolecia, aż wróci ów miniony, dawny czas i ktoś wejdzie, zawoła, żeby podano mu kufel piwa albo szklankę gorzalki, rozda karty, po czym zaciągnie się wykonaną z gliny fajką. Wiszące na ścianie obok tablicy z regulaminem małe kwadratowe lustro było całe. Rozumiesz, Bonesie? Mali chłopcy znani są z tego, że wszędzie się dostaną i wszystko zniszczą. Nie istnieje dla nich żaden „nawiedzony” dom, który po ich wizycie ostałby się z całymi szybami bez względu na to, jak niesamowici i przerażający byłiby jego rzekomi mieszkańcy; dla takich łobuziaków nie ma świętości pogrążonego w posępnym cieniu cmentarza, nie ma grobowca, gdzie by się nie wdarli. A z całą pewnością w odległym od Doli Jeruzalem o niecałe trzy kilometry Preacher’s Corners urwisów takich jest bardzo wielu. Na dodatek wszelkie szklane naczynia i cała masa innych kruchych i delikatnych przedmiotów, na które natknęliśmy się podczas naszych poszukiwań [warte są z pewnością okrągłą sumkę], również pozostały nietknięte. Jedyne zniszczenia, jakich dopatrzyliśmy się w Doli Jeruzalem, dokonane zostały przez bezosobową Naturę. Wniosek jest jasny: Dola Jeruzalem to nawiedzone miasto. Ale dlaczego? Mam pewną teorię, lecz zanim odważę się bliżej ją wyjaśnić, najpierw opowiem o dziwnym i niepokojącym zakończeniu naszej wizyty w tym upiornym mieście.

Przeszliśmy na górę do części sypialnej zajazdu. Łóżka były starannie posłane, przy każdym stał cynowy dzban na wodę. Podobnie kuchnia nie nosiła najmniejszych śladów zniszczenia, z wyjątkiem zalegających wszędzie grubych warstw kurzu i przenikającego wszystko zapachu zgnilizny i rozkładu. Karczma z całą pewnością dla miłośnika starożytności byłaby ziemią obiecaną. Wspaniałe kuchenny piec stanowiłby ozdobę każdej aukcji w Bostonie i niechyb-

nie osiągnąłby zawrotną cenę.

„I co o tym myślisz, Cal?” – zapytałem, kiedy znów znaleźliśmy się w mętym świetle pochmurnego dnia.

„Myślę, że to paskudny interes, panie Boone” – odparł płaczliwie.

Pobieżnie zbadaliśmy inne budynki: stajnię przy karczmie, gdzie na płaskich, zardzewiałych hakach wisiały spleśniałe uprzęże, sklep z artykułami gospodarstwa domowego, magazyn z drewnem, gdzie ciągle jeszcze piętrzyły się stosy sosnowych i dębowych belek i desek, oraz kuźnię.

W drodze do stojącego pośrodku miasteczka kościoła wstąpiliśmy do dwóch domów mieszkalnych. Oba były zabudowane w typowym, purytańskim stylu, a w środku natknęliśmy się na masę przedmiotów i sprzętów, na których każdy kolekcjoner staroci natychmiast położyłby chciwie swoją rękę. Oba domy zostały opuszczone i przenikał je zapach zgnilizny.

Z wyjątkiem nas dwóch wszystko tam było martwe i pogrążone w bezruchu. Nie dostrzegliśmy owadów, ptaków ani nawet pajęczyn w rogach okien. Tylko kurz.

W końcu dotarliśmy do kościoła. Piętrzył się nad nami, posępny, niegościnnie, zimny. Okna były ciemne od panującego w środku mroku; wszelka pobożność i świętość opuściły to miejsce bardzo dawno. O tym byłem absolutnie przekonany. Weszliśmy po schodach i położyłem dłoń na wielkiej, żelaznej klamce. Wymieniliśmy z Calvinem posępne spojrzenia. Pchnąłem drzwi. Od jak dawna tej klamki nie dotknęła ludzka ręka? Byłem pewien, że moja jest pierwsza od pięćdziesięciu lat; zapewne dłużej. Zardzewiałe zawiasy przeraźliwie zaskrzypiały. Smród pleśni, zgnilizny i rozkładu był prawie namacalny. Cal wydał zdławiony okrzyk i odruchowo odwrócił twarz, pragnąc zaczerpnąć w płuca świeżego powietrza.

„Proszę pana – sapnął. – Czy jest pan pewien, że pan wytrzyma...”

„Czuję się doskonale” – odparłem spokojnie.

Bones, wcale nie byłem spokojny; podobnie jak i teraz. Podobnie jak Mojżesz, Jeroboam, Increase Mather czy nasz Hanson [kiedy jest, naturalnie, w tym swoim filozoficznym nastroju] wierzę, że istnieją szkodliwe duchowo miejsca, budowle, w których kosmiczne dobro kwaśnieje i psuje się. Przysięgam Ci, że ten kościół jest właśnie takim miejscem.

Wkroczyliśmy do długiego westybulu zastawionego zakurczonymi wieszakami i pulpitemi ze zbiorami hymnów. W westybulu nie było okien. W specjalnych niszach stały lampy oliwne. Nieszczerólnie godne uwagi pomieszczenie, pomyślałem, ale w tej samej chwili usłyszałem, że Calvin ze świstem wciąga w płuca powietrze i dopiero wtedy ujrzałem to, co on dostrzegł wcześniej.

To było odrażające.

Nie śmiem opisać dokładniej tego wspaniale oprawionego malowidła. Musi wystarczyć Ci tylko tyle: namalowane było w zmysłowym stylu obrazów Rubensa, przedstawiało groteskową trawestację Madonny z Dzieciątkiem, a w tle pełżyły i paradowały dziwne, ukryte w półcieniu stworzenia.

„Boże” – szepnąłem.

„Tu nie ma żadnego Boga” – odparł Calvin.

Jego słowa długo jeszcze wisiały w powietrzu.

Otworzyłem drzwi prowadzące do samego kościoła. W nozdrza uderzyło nas niezdrowe powietrze i odrażający smród.

W nikłym świetle popołudnia majaczyły ławki ciągnące się aż do ołtarza. Nad nimi wznosiła się wysoka, dębowa kazalnica, a jeszcze dalej, na skrytym w mroku ołtarzu, lśniło złoto.

Calvin, który był żarliwym protestantem, z cichym łkaniem wykonał znak krzyża, a ja poszedłem w jego ślady. Owo złoto był to wspaniałej roboty krzyż, ale odwrócony do góry nogami – symbol Czarnej Mszy.

„Musimy zachować spokój – usłyszałem własny głos. – Calvin, musimy zachować spokój. Musimy zachować spokój”.

Lecz cień spowił już moje serce i obawiałem się, że nigdy nie

odzyskam spokoju. Raz trafiłem pod mroczny parasol śmierci i myślałem, że nie może być ciemniejszego miejsca. Ale tu było. Tu było.

Przeszliśmy wzdłuż głównej nawy, nasze kroki wzbudzały rozliczne echa. Zostawialiśmy za sobą w kurzu wyraźne ślady stóp. A na ołtarzu były inne jeszcze mroczne *objets d'art*. Nie, nie mogę, nie pozwolę memu umysłowi roztrząsać tego, co widzieliśmy.

Zacząłem wchodzić na kazalnicę.

„Nie! Panie Boone, nie! – krzyknął nagle Cal. – Boję się...”

Ale ja już znalazłem się na górze. Na pulpicie leżała olbrzymia, otwarta księga napisana zarówno po łacinie, jak i niewyraźnymi runami, które na moje niewprawne oko były pismem druidzkim albo preceltyckim. Załączam Ci kartkę z kilkoma narysowanymi z pamięci symbolami.

Zamknąłem księgę i popatrzyłem na słowa wytłoczone w skórze okładki: *De Vermis Mysteriis*. Moja łacina jest raczej uboga, ale wystarczająca, żebym zrozumiał tytuł: *Tajemnica Glisty*.

Kiedy tylko dotknąłem księgi, cały ten przeklęty kościół i blada, uniesiona twarz Calvina zatańczyły mi przed oczami. Odniosłem wrażenie, że słyszę niskie, monotonnaie zawodzące głosy pełne jakiegoś odrażającego, a jednocześnie żarliwego oczekiwania... a w tle tego dźwięku inny jeszcze, wypełniający trzewia ziemi, odgłos. Nie wiem... ale w tym samym momencie kościół wypełnił bardzo rzeczywisty dźwięk, który potrafię opisać jedynie jako taki odgłos, jaki musiałoby wydać coś ogromnego i nieskończenie makabrycznego, co skrzyło się pod moimi stopami. Kazalnica zatrzęsała się; na ścianie zadygotał zbezczeszczony krzyż.

Wyszliśmy jednocześnie, Cal i ja, zostawiając tamto miejsce ciemnościom, i żaden z nas nie odważył się odwrócić aż do chwili, kiedy przekroczyliśmy nierówne deski przerzuconego nad potokiem mostka. Nie powiem, że wracaliśmy biegiem, plugawiąc tych tysiąc dziewięćset lat, podczas których człowiek mozolnie pisał się w górę od stadium ciemnego i pełnego przesądów dzikusa, ale też skłamałbym, twierdząc, że szliśmy spacerkiem.

I to już wszystko. Nie wolno Ci psuć kuracji niepokojem, że ponownie zapadłem na zapalenie opon mózgowych; Cal może zaświadczyć o prawdziwości każdego mojego słowa i potwierdzić istnienie tych odrażających hałasów.

Tak więc kończę, życząc sobie gorąco spotkania z Tobą [wiem, że wtedy, w jednej chwili, opuściłyby mnie oszołomienie i zamęt, jaki panuje obecnie w mojej głowie]. Z wyrazami najgorętszej, dożgonnej przyjaźni

CHARLES

17 paźdz. 1850 r.

SZANOWNI PANOWIE!

W najnowszym katalogu waszych artykułów gospodarstwa domowego (z lata 1850 r.) zauważyłem preparat pod nazwą Zmora Szczurów. Chciałbym zakupić jedną (1) dwuipółkilogramową puszkę tego środka po cenie katalogowej trzydziestu centów (0,30 \$). Załączam opłatę za przesyłkę. Zamówiony towar proszę przesłać na adres: Calvin McCann, Chapelwaite, Preacher's Corners, Cumberland County, Maine.

Z góry dziękuję za załatwienie tej sprawy.

Z wyrazami najgłębszego szacunku

CALVIN McCANN

19 paźdz. 1850 r.

DROGI BONESIE!

Nowy, bardzo niepokojący obrót sprawy.

Hałasy w domu wzmagają się i nabieram coraz głębszego przekonania, że to wcale nie szczury harcują w ścianach. Calvin i ja podjęliśmy kolejną, bezowocną próbę odszukania jakichś kryjówek albo tajemnych korytarzy. Wyraźnie brakuje nam czytania w romansach pani Radcliffe! Cal upiera się, że większość odgłosów ma

swoje źródło w piwnicy i tam właśnie mamy zamiar rozpocząć jutro poszukiwania. Niepokoi mnie świadomość, że właśnie w piwnicy tak niefortunnie znalazła swój koniec siostra kuzyna Stephena.

Jej portret wisi w galerii na piętrze. Marcella Boone, jeśli artysta dobrze ją oddał, była pięknym stworzeniem o melancholijnej urodzie i z tego, co wiem, nie miała męża. Czasami myślę, że pani Cloris ma rację, utrzymując, iż jest to zły dom. Przejął zapewne cały smutek i przygnębienie swoich dawnych mieszkańców.

Ale muszę Ci szerzej opisać straszne rewelacje, jakie objawiła mi pani Cloris, z którą dzisiaj po raz drugi rozmawiałem. Kobieta owa jest najbardziej zrównoważoną osobą w Corners, jaką dotychczas tam spotkałem, i dlatego postanowiłem odszukać ją po innym, bardzo nieprzyjemnym spotkaniu, o czym zamierzam Ci opowiedzieć.

Dzisiejszego ranka miano dostarczyć nam drewno na opał. Kiedy jednak minęło południe, a drewna jak nie było, tak nie było, postanowiłem osobiście udać się do miasteczka. Zamierzałem odwiedzić Thompsona, z którym Calvin umówił się na dostawę.

Dzień był cudny. Panowała ciepła, złota jesień i kiedy wreszcie dotarłem na miejsce [Cal został w domu, żeby jeszcze raz przeszukać bibliotekę stryja Stephena, ale dał mi dokładne wskazówki, jak trafić do Thompsonów], byłem w tak wyśmienitym i pogodnym nastroju, że postanowiłem wybaczyć Thompsonowi jego niesolidność.

Obejście drwała porastały bujne łąny chwastów, a walące się domostwo wymagało generalnego remontu i farby; na lewo od stodoły, w zabłoconym chlewie, tarzała się i chrumkała olbrzymia maciora przygotowana na listopadowy ubój. Na zaśmieconym podwórku między domem a budynkami gospodarczymi jakaś kobieta, ubrana w zniszczoną kraciatą sukienkę, karmiła kury, rzucając im ziarno z fartucha. Kiedy ją pozdrowiłem, odwróciła w moją stronę bladą, nieciekawą twarz.

Nagła zmiana wyrazu jej oblicza z całkowitej tępoty i bez-

myślności do oszalałego strachu była rzeczą nader interesującą. Pomyślałem sobie, że zapewne wzięła mnie za samego Stephena, ponieważ uniosła dłoń z rozcapierzonymi palcami w geście odpędzającym siłę nieczystą i wrzasnęła. Kręcące się u jej stóp ptactwo spłoszone głośnym krzykiem rozbiegło się po dziedzińcu.

Zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć, z domu wynurzył się wielki, kłocowaty mężczyzna odziany tylko w długie kalessy. W jednej ręce trzymał strzelbę na wiewiórki, a w drugiej kubek. Po zaczerwienionych oczach i chwiejnym chodzie poznałem, że mam do czynienia z Thompsonem Drwalem we własnej osobie.

„Boone! – ryknął. – Pieprzę cię!”

Upuścił kubek i również wykonał magiczny znak.

„Przyszedłem – wyjaśniłem na tyle spokojnie, na ile pozwalały okoliczności – ponieważ drewno do mnie przyjść nie chciało. Zgodnie z umową, którą zawarł pan z moim...”

„Jego też pieprzę!”

Wtedy po raz pierwszy spostrzegłem, że pod maską fanfaronady i pewności siebie skrywa śmiertelny strach. Zacząłem się poważnie zastanawiać, czy w stanie takiego podniecenia nie użyje w stosunku do mnie broni.

„Czy w geście kurtuazji mógłby pan...” – zacząłem ostrożnie.

„Pieprzę twoją kurtuazję!”

„Zatem dobrze – odparłem z godnością, na jaką mnie było w tamtej chwili stać. – Przyjdę, kiedy pan się uspokoi i będzie w lepszym nastroju”.

Odwróciłem się na pięcie i ruszyłem drogą w kierunku osady.

„Nie wracaj! – wrzasnął za mną. – Siedź sobie w domu ze swoim złym! Przeklęty! Przeklęty! Przeklęty!”

Cisnął kamieniem, który trafił mnie w ramię. Nie dałem mu tej satysfakcji i nie odskoczyłem.

Postanowiłem odszukać panią Cloris i przynajmniej wyjaśnić zagadkę tak wrogiej postawy Thompsona. Jest wdową [tak, wiem, i nic nie kombinuj ze swatami, Bonesie; ona jest o dobrych piętna-

ście lat ode mnie starsza, a i ja nigdy już na czterdzieści nie będę wyglądał] i mieszka samotnie w uroczym domku usytuowanym nad samym brzegiem oceanu. Kiedy się pojawiłem, rozwieszała właśnie pranie i szczerze ucieszyła się z mojej wizyty. Poczułem ogromną ulgę; to bardzo irytujące uczucie, kiedy człowieka piętnują za coś, o czym on sam nie ma zielonego pojęcia.

„Pan Boone” – powiedziała, dygając. – „Jeśli pojawił się pan w sprawie prania, to muszę z przykrością odmówić. Reumatyzm tak mi dokucza, że z trudem radzę sobie z własnymi brudami”.

„Pani Cloris” – odpowiedziałem. – „Bardzo chciałbym, żeby to właśnie pranie było przyczyną mojej wizyty. Przyszedłem z prośbą o pomoc. Musi mi pani opowiedzieć wszystko, co pani wie o Chapelwaite i Doli Jeruzalem, oraz wyjaśnić, dlaczego okoliczni mieszkańcy traktują mnie tak wrogo i podejrzliwie”.

„Dola Jeruzalem! A więc pan już o tym wie”.

„Wiem” – odpowiedziałem. – „W ubiegłym tygodniu odwiedziłem tamto miejsce z moim przyjacielem”.

„Boże!”

Pobladła jak mleko i zachwiała się. Podtrzymałem ją za łokieć. Oczy wywróciły się jej białkami do góry i myślałem, że zemdleje.

„Pani Cloris, przepraszam, jeśli powiedziałem coś...”

„Wejdźmy do środka” – mruknęła. – „Powinien pan o wszystkim wiedzieć. Słodki Jezu, znów nadchodzą złe dni!”

Nie odezwała się więcej ani słowem do czasu, aż w swojej słonecznej kuchni zaparzyła herbatę. Kiedy stały już przed nami parujące filiżanki, długą chwilę spoglądała zamyślonym wzrokiem na ocean. Naturalnie, i jej, i mój wzrok prawie natychmiast spoczął na sterczącym wierzchołku Chapelwaite Head, gdzie w wodzie przeglądał się dom. Ogromne wykuszowe okno lśniło w promieniach przesuwającego się ku zachodowi słońca. Widok był wspaniały, ale w jakiś sposób dziwnie niepokojący.

Nagle pani Cloris popatrzyła na mnie i powiedziała gwałtownie:

„Panie Boone, musi pan natychmiast opuścić Chapelwaite”.

Po prostu zdębiałem.

„Tuż przed pańskim przybyciem bardzo wyraźnie wzmogła się aura zła. Na tydzień przed tym, jak postawił pan nogę w tym przeklętym miejscu, pojawiły się omeny i złowieszcze znaki. Halo wokół księżycy; olbrzymie ilości lelków na cmentarzu; narodziny wyrodka. Pan musi tamto miejsce opuścić!”

Kiedy już odzyskałem mowę, odezwałem się najłagodniej jak potrafiłem:

„Pani Cloris, to wszystko sny. Kto jak kto, ale pani musi o tym wiedzieć”.

„Czy to sen, że Barbara Brown urodziła dziecko bez oczu? Albo że Clifton Brockett natknął się w lesie za Chapelwaite, gdzie wszystko więdnie i traci barwy, na trop śladów mierzących półtora metra każdy? Odwiedził pan przecież Dolę Jeruzalem. Czy przyzna pan z ręką na sercu, że nic tam nie żyje?”

Znów nie byłem w stanie wykrztusić słowa; ciągle miałem żywo w pamięci tamten odrażający kościół.

Pani Cloris złożyła swoje zdeformowane dłonie; zupełnie jakby chciała uspokoić skołatane nerwy.

„Słyszałam o tym tylko od swojej matki, która z kolei usłyszała to od swojej. Czy zna pan historię rodziny Boone’ów zamieszkującej Chapelwaite?”

„Bardzo ogólnie – odparłem. – Od lat osiemdziesiątych osiemnastego wieku dom należał do rodziny z linii Philipa Boone’a, jego brat, Robert, mój dziadek, przeniósł się do Massachusetts po wielkiej kłótni na temat skradzionych dokumentów. O rodzinie Philipa wiem niewiele poza tym, że prześladowało ją pasmo nieszczęść ciągnące się z ojca na syna i na wnuki; Marcella zginęła w tragicznym wypadku, Stephen również zmarł nagłą śmiercią. Życzeniem mego kuzyna było, żebym zamieszkał w Chapelwaite, by dom ten pozostał w rękach naszej rodziny i żeby dawne właśnie puścić w niepamięć”.

„Nigdy do tego nie dojdzie – szepnęła. – Czy wie pan coś o przyczynie tamtej kłótni?”

„Roberta Boone’a przyłapano na przetrząsaniu biurka brata”.

„Philip Boone był szalony – odparła. – Paktował z siłami piekielnymi. Przedmiotem, który Robert Boone chciał zabrać, była bluźniercza Biblia napisana w starożytnych językach: po łacinie, w druidzkim i w kilku innych. Piekielna księga”.

„*De Vermis Mysteriis*”.

Pani Cloris cofnęła się, jakby ktoś uderzył ją prosto między oczy.

„Wie pan o tym?”

„Widziałem tę księgę... dotykałem jej...”

Znów sprawiała takie wrażenie, jakby miała za chwilę zemdleć. Zakryła dłonią usta, tłumiąc krzyk.

„Tak, w Doli Jeruzalem – ciągnąłem. – Leżała na pulpicie w tamtejszym strasliwym, zbezczeszczonym kościele”.

„A więc ciągle jest; ciągle tam jest. – Zachwiała się na krześle. – A już sądziłam, że Bóg w Swojej mądrości cisnął ją w otchłanie piekielne”.

„Jaki był związek Philipa Boone’a z Dolą Jeruzalem?”

„Związek krwi – odparła posępnie. – Nosił Znak Bestii, choć stroił się w szaty Baranka. Nocą trzydziestego pierwszego października tysiąc siedemset osiemdziesiątego dziewiątego roku Philip Boone zniknął... a wraz z nim wszyscy mieszkańcy tego przeklętego miasta”.

Powinna była mi powiedzieć więcej; najwyraźniej jeszcze coś wiedziała. Ale zaczęła błagać, żebym już sobie poszedł, a jako powód podała, że „krew wzywa krew”, i mruczała pod nosem o „tych, którzy patrzą, i o tych, którzy stoją na straży”. Zapadał z wolna zmierzch, a pani Cloris była coraz bardziej niespokojna, więc żeby ją sobie zjednać, obiecałem, że wszystkie jej słowa wezmę pod głęboką rozwagę.

Kiedy wracałem do domu w szybko zapadającym zmierzchu,

opuścił mnie cały dobry nastrój. Pod czaszką tłukło mi się wiele pytań. Cał przywitał mnie wiadomością, że hałasy w ścianach przybrały na sile... co mogę w tej chwili potwierdzić. Próbuję sobie wmawiać, że to tylko szczury, ale cały czas mam przed oczami twarz pani Cloris.

Nad morzem wzeszedł księżyc, opasły, pełny, w kolorze krwi, zalewając ocean niezdrowym blaskiem. Ponownie wracam myślą do kościoła i

(wykreślona linia)

Ale Ty tego nie zrozumiesz, Bonesie. To zbyt szalone. Chyba muszę iść spać. Cały czas jestem myślami z Tobą.

Wyrazy szacunku
CHARLES

(Poniższy zapis pochodzi z prywatnego dziennika
Calvina McCanna).

20 paźdz. 50 r.

Pozwoliłem sobie dziś rano sforsować zamek spinający stronicę księgi; zrobiłem to przed powrotem pana Boone'a. Cały trud na nic; księga napisana jest szyfrem. Podejrzewam, że prostym. Zapewne uporałbym się z nim równie łatwo, jak z zamykającym księgę zamkiem. Diariusz. Jestem przekonany, że napisany został ręką pana Boone'a. Jakąż inną książkę trzymałby na najciemniejszej półce w bibliotece i na dodatek zamykałby ją na specjalny zamek? Sprawia wrażenie starej, ale kto to wie. Później napiszę więcej, jeśli czas pozwoli; pan Boone koniecznie uparł się zbadać piwnice. Obawiam się, że przerażające wydarzenia, które mają tutaj miejsce, mogą fatalnie wpłynąć na jego zdrowie. Muszę koniecznie wyperśwadować mu tę wyprawę...

Ale właśnie wraca.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również **w formie e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).